

Kieniewicz, Stefan

Z rozmyślań dziejopisa czasów porozbiorowych

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 25/2, 242-267

1980

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.





Stefan Kieniewicz

Z ROZMYŚLAŃ DZIEJOPISA CZASÓW POROZBIOROWYCH

„The man of action make history, but the spectators make most of the histories, and these histories may influence the action”.

Edmund Wilson

1. Środowisko rodzinne; 2. Szkoła i studia; 3. Pierwsze książki; 4. Wojna; 5. Urządzam się w Polsce Ludowej; 6. Stulecie Wiosny Ludów; 7. Przełom lat pięćdziesiątych; 8. Wokół powstania styczniowego; 9. Dydaktyka; 10. Funkcje urzędowe; 11. Obowiązki przyjemne; 12. Podsumowanie.

1

Każdy historyk skłania się z racji uprawianego zawodu do przyczynowego objaśniania ciągu obserwowanych wydarzeń. Cokolwiek się zdarzyło, powinno było — jego zdaniem — stanowić następstwo wcześniejszych, dostrzegalnych faktów i sytuacji. Podobnie kreśląc czyjąś biografię historyk omal z instynktu zastanawia się nad warunkami, które ukształtowały osobowość danego człowieka, nad czynnikami, które pokierowały z zewnątrz jego losem. Zdawałoby się, że tak samo winien by postępować, zastanawiając się nad samym sobą: nad źródłami własnego charakteru, nad kolejami własnej egzystencji. A jednak, kiedy sam spoglądam dzisiaj wstecz na swoje życie, a szczególnie na własną karierę naukową z perspektywy dziesięcioleci, nie dostrzegam nic podobnego. Gdybym nie wierzył, że kieruje mną opatrnościowa ręka, musiałbym sądzić, że rozstrzygał o moim losie ciąg nieoczekiwanych przypadków. Nie zaprogramowałem bowiem swej drogi życiowej, i nie umiem określić, jakie czynniki zewnętrzne zdołały zdeterminować, że stałem się historykiem takiej to epoki, o takich to zainteresowaniach i osiągnięciach. Okolicznościom, które napotykałem, lepiej czy gorzej usiłowałem sprostać — oto wszystko.

Urodziłem się i wychowałem w środowisku ziemiańskim, niezaprzeczenie kulturalnym, ale bez żadnych tradycji pisarsko-literackich. Prawda, że moja babka komponowała bardzo niedobre wiersze, które nawet drukowała własnym nakładem. Prawda też, że stryjeczny brat mego dziada interesował się historią upadku Polski (o tym dowiedzieć się miałem dużo później).

W rodzinnym domu w Dereszewiczach na Polesiu było bardzo dużo książek, w tym dziecinnych i młodzieżowych, w różnych językach. Ale z nas czterech braci tylko ja jeden okazałem się od dziecka „książkowcem”, przedkładającym lekturę nad każde inne zajęcie, nad strzelbę i konną jazdę.

Wśród owych lektur powieści historyczne Przyborowskiego i Gomulickiego zajmowały poczesne, choć nie wyłączne miejsce. Dzięki nim właśnie w dziesiątym roku życia mogłem samodzielnie odtwarzać kronikę naszych walk o niepodległość, od konfederacji barskiej do powstania listopadowego. Historia Polski, której mnie uczono, urywała się na rozbiorach, podobnie jak *Poczet królów* Matejki, który wisiał w złoczonej ramie w naszym dziecinnym pokoju. O powstaniu styczniowym nie mówiło się w naszym domu — zbyt bolesna to była karta dla kresowego ziemiaństwa. Znacznie później miałem się dowiedzieć, że członkowie mojej rodziny odegrali też jakąś rolę w 1831 i 1863 roku.

Miałem lat jedenaście, gdy rodzice moi przenieśli się do Warszawy, utraciwszy majątek w następstwie rewolucji rosyjskiej. Ojciec objął skromną posesję w Ministerstwie Rolnictwa, następnie intratniejszą, w prywatnej firmie leśnej. Z człowieka zamożnego pod obcym panowaniem stał się inteligentem w wolnej Polsce. My, młode pokolenie, nie czuliśmy się poszkodowani tą zamianą. Byt mieliśmy zabezpieczony, choć oszczędny, cieszyło nas nowe życie w wielkim mieście, polska szkoła, atmosfera wolności.

2

Uczęszczałem do gimnazjum im. Jana Zamoyskiego, Smólna 30, w latach 1919—1925. Była to szkoła prywatna, stosunkowo kosztowna, tym samym elitarna, jednak nie bardzo wysoko stojąca, ani też mogąca się pochlubić wybitnymi profesorami. Niemal od początku byłem w klasie swej pierwszym uczniem, bez większego wysiłku ze swej strony: dzięki dobrej pamięci, dobremu zdrowiu i wpojonej od dziecka obowiązkowości. Moje słabe punkty były to kreślenia, rysunki, śpiew i gimnastyka. Z historii zdobywałem piątki nie bardzo nawet się ucząc. Pierwszy nauczyciel mój tego przedmiotu, Sylwester Pieczynis, był weteranem 1863 roku, co mógłbym uznać dziś za okoliczność wróżebną; ale staruszka tego straciłem z oczu po roku, zanim zdołał mi wpoić cokolwiek. Następca jego, Kazimierz Krzymuski, niczym nie umiał klasy zainteresować, był nawet jej pośmiewiskiem; a i ja na lekcjach historii, doprowadzanych wtedy do połowy XIX wieku, niczym się nie odznaczyłem.

Czytałem już poważne dzieła historyczne, poszczególne tomy Szajnochy, Kubali, Askenazego, Smolki (*Polityka Lubeckiego*); po francusku też G. Ferrero, Diehla, Macaulaya, Taine'a. Ale nie były to lektury świadomie dobierane, z myślą o zdobyciu konkretnej wiedzy. Polykałem książki, jakie mi wpadały w ręce, w tym również historyczne. Coś mi nawet z tych lektur pozostawało w głowie, ale raczej jako groch z kapustą. Żadnych też nie przejawiałem w ostatnich latach szkoły skłonności literackich, tym mniej naukowych.

Trzeba jednak było po maturze obrać jakiś kierunek studiów. Miałem na świadectwie dojrzałości równie dobre stopnie ze wszystkich przedmiotów i tylko ze względu na niechęć do rysunku musiałem eliminować studia

matematyczno-przyrodnicze. Po jakimś wahaniu pomiędzy prawem a historią, zdecydowałem się na tę ostatnią — sam nie wiem, czemu. Może dlatego, że starszy mój brat kończył prawo; może historia zdawała mi się bardziej zajmująca? Na pewno nie oznaczało to, iż mając lat 18 chciałem raczej zostać nauczycielem, niż urzędnikiem, czy też adwokatem. Czasy były wtedy trudne dla inteligentnej młodzieży i w ogóle też wolałem nie zastanawiać się, czy i jak po uniwersytecie dochrapię się jakiej posady.

Z rodzinnych i ekonomicznych względów studiować miałem w Poznaniu, gdzie Adam Żółtowski, żonaty z moją siostrą cioteczną, wykładał historię filozofii. Poznań w tym czasie był młodą uczelnią i gdy idzie o studium historii, nie mógł się równać z poziomem Warszawy, Krakowa, czy Lwowa. O tym wówczas nie miałem pojęcia i podejmując studia wcale nie orientowałem się, na czym będą one polegały, ani też, co znaczą i co są warci moi nowi profesorowie. W domu Żółtowskich panowała atmosfera intelektualna, poznałem tu wielu ciekawych ludzi i oszlifowałem się towarzysko. W bibliotece państwa domu wyłowilem niejedną poważną lekturę, w szczególności zawarłem znajomość z klasycznym pamiętnikarstwem francuskim XVIII w. Ale nie mogłem liczyć tu na użyteczną radę w zakresie podjętych studiów historycznych.

Były one jeszcze wtedy zupełnie swobodne. W ciągu lat czterech student miał obowiązek zaliczyć wykłady monograficzne i seminaria w liczbie 20 godzin tygodniowo, zdać w dowolnych terminach pięć egzaminów i napisać pracę magisterską. Prawda, że materiał do tych egzaminów był ogromny i w braku polskich podręczników historii powszechnej trzeba się było uczyć z dzieł francuskich lub niemieckich. Mnie jednak pamięć dopisywała, a do języków obcych miałem wielką łatwość. Demoralizował natomiast brak dyscypliny studiów, dezorientował zaś brak informacji, w czym leży ich istota. Większość moich kolegów byli to skromni ludzie, którzy zmierzali do tego, by jak najszybciej i najmniejszym wysiłkiem dobić się dyplomu i nauczycielskiej posady. Mnie ta perspektywa nie korciła; uczęszczałem na wykłady pilnie, robiłem nawet notatki, ale egzaminy odkładałem i prawdę powiedziawszy przebałagałem pierwsze trzy lata. Na to, by odnieść głębszy pożytek ze studiów, należało zbliżyć się do któregoś profesora, lecz nie wiedziałem, jak się do tego wziąć.

Liczyli się w Poznaniu dwaj tylko profesorowie historii: Kazimierz Tymieniecki, młody jeszcze wtedy, a później bardzo świetny mediewista, oraz nowożytnik Adam Skalkowski. Zaliczyłem obowiązkowe proseminarium Tymienieckiego z nauk pomocniczych, nauczyłem się niejednego z jego wykładów, ale bliższe mi się zdawały czasy stanisławowskie i napoleońskie, o których nam mówił Skalkowski. Wykłady jego były podniecające; ponieważ rozprawały się z uświęconymi mitami, nicowały wielkość Kościuszki i księcia Józefa, poddawały krytyce koncepcje niepodległościowe, podważały też przy okazji autorytet Askenazego. Zarzucano Skalkowskiemu konserwatyzm, odgrzebywanie też szkoły krakowskiej. Konserwatystą był na pewno pod względem metody, gdyż interesowała go wyłącznie historia polityczno-wojskowa, a ściślej — biografistyka. Słusznie za to uczył jednego: krytycznego stosunku do źródeł, oporności przeciwko wszelkim, najbardziej nawet szacownym legendom.

Dotrzeć do Skalkowskiego było trudno, na jego seminarium uczęszczało osób z pięćdziesiąt, czytano na nich fragmenty lepszych prac magisterskich, a kto się dobrze nie orientował w temacie, ten niewiele skorzystał. Młodym studentom Skalkowski proponował opracowanie referatów na temat współczesnej twórczości tego czy innego historyka. Studenci na ogół migali się od tej nieobowiązkowej roboty, ja jednak zgłosiłem się, a profesor zaproponował mi napisanie referatu o Władysławie Konopczyńskim. Ani jeszcze wtedy wiedziałem, że istnieje w Krakowie taki uczony... Po niewczasie dowiedziałem się, że zdążył już napisać bardzo wiele grubych książek i że wszystko to muszę przeczytać! Podjąłem i ten wysiłek, niektóre dzieła, jak zwłaszcza *Liberum veto*, poruszyły mnie do żywego, inne zmęczyły solidnie, ze względu na bezmiar faktów i fakcików. Problem leżał gdzie indziej: jak ocenić te książki, które się przeczytało? jak ująć w poprawne zdania nasuwające się myśli? Nikt nas nie uczył metody pracy naukowej, stary podręcznik Langlois i Seignobos był zbyt ogólnikowy, świeżo wydana *Historyka Handlsmána* stawała się trudna do zrozumienia w tym właśnie istotnym punkcie, gdy od krytyki źródła należy przejść do konstrukcji i wykładu. Słowem, namęczyłem się nad tym pierwszym swoim referatem w sposób nieprzytomny. Nie sędzę, aby był wiele wart; odczytałem go jednak na dwóch kolejnych posiedzeniach seminarium — i na pewno skorzystałem przy tej pracy więcej aniżeli moi słuchacze.

Zaczyznałem już czwarty rok studiów, gdy przyjaciel mój Włodek Dworzaczek zaciągnął mnie do Skalkowskiego, żeby nam obu wyznaczył tematy prac magisterskich. Z reguły były to biografie różnych drugorzędnych postaci z przełomu XVIII i XIX w., przeważnie takich, po których dochowały się w Poznańskim prywatne, dotąd niewykorzystane papiery. Pracę magisterską z historii nowożytnej pisało się wtedy w oparciu o archiwalia, była więc ona w zasadzie na poziomie dzisiejszej doktorskiej. Nam przydzielił Skalkowski dwóch braci Działyńskich: mnie Ignacego, szefa regimentu, Dworzaczkowi Ksawerego, wojewodę. Zlecenie to zlekceważyłem lekko-myślnie, trochę wtedy zajęty flirtem, trochę społecznościami. Dopiero w pierwszych dniach maja 1929 r. wyruszyłem na kwerendę archiwalną do Kórnika. Wbrew kardynalnym zasadom pracy naukowej nie zacząłem od zebrania bibliografii, od przerobienia podstawowych opracowań i źródeł drukowanych; ruszyłem w teren nie bardzo nawet wiedząc, kim był ów Ignacy Działyński, którego życiorys mam pisać! Tę swoją nieopatrzność przypłaciłem srodze, tracąc czas na różne odkrycia, które odkryciami nie były.

Poszukiwania archiwalne kontynuowałem w Konarzewie (wówczas Romana Czartoryskiego), a następnie w Archiwum Głównym w Warszawie. W ciągu następnego roku wziąłem się do finiszu. Jak dałem temu radę, sam dziś nie wiem, ale zdałem jeden po drugim, i to bardzo dobrze, wszystkie egzaminy oraz napisałem sporą pracę o Ignacym Działyńskim (1754—1797), którą Fundacja Kórnicka wydała drukiem w sposób luksusowy i w ciągu niewielu miesięcy! Nie cenię sobie tej swojej pierwszej książki: ani jej pretensjonalnego stylu, ani poglądów zaczerpniętych od Skalkowskiego, ani faktografii, w której liczne potknięcia wytknął mi później Waclaw Tokarz. Bądź co bądź jednak ukończyłem studia przyzwoicie i „zaledwie” z rocznym spóźnieniem (1930).

„I cóż dalej, szary człowieku?” — że przypomnę tytuł modnej wtedy powieści Hansa Fallady. Wracalem z Poznania do Warszawy, gdzie na Uniwersytecie nie znałem żywej duszy i marzyć nie mogłem o jakimkolwiek zaczepieniu się. Szczęśliwie Ojciec mój w tym czasie niezłe zarabiał i zdecydował się sfinansować mi roczny pobyt w Paryżu; uważał snadź, że warto coś zainwestować w najzdolniejszego, jak sądził, z czterech synów. Również w tę zagraniczną podróż wybrałem się, rzecz można, na wariata, bez naukowego przygotowania i planu. Dopiero na miejscu, pod wpływem przygodnych lektur postanowiłem sobie, że zajmę się sprawą polską w 1848 roku. Pracowałem dość pilnie w Bibliothéque Nationale, w Archives des Affaires Etrangères i w Bibliotece Polskiej na quai d'Orléans. Przywiozłem do kraju stos notatek... i dowiedziałem się, że pracę na ten właśnie temat ma już gotową Józef Feldman. Wcale nawet nie wiedziałem dotąd o istnieniu Feldmana... Na zaproszenie Skalkowskiego zreferowałem wyniki swych poszukiwań paryskich w Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Poznaniu. W dyskusji docent Wisława Knapowska grzecznie dała mi do zrozumienia, że na niczym się nie rozumiem. Co gorsza, miała rację. Rok spędzony w Paryżu nie był może zmarnowany w stu procentach, gdyż otrząsałem się jednak w problematyce Wiosny Ludów; ale sukces to żaden nie był.

Rok 1931, rok kryzysu, nie otwierał mi szerszych perspektyw. W domu ojcowskim miałem zapewniony wikt i trochę kieszonkowego — warunki wymarzone dla samodzielnej pracy naukowej. Skalkowski dał mi list polecający do Marceliego Handelsmana — sam nie wiem, czemu? Ani ideologicznie, ani metodologicznie nie byli sobie bliscy. Zapewne wiedział, że Handelsman zna się na Wiosnie Ludów, i to mu wystarczało. Zaniósłem Handelsmanowi swą książkę o Działyńskim; też nie ukrywał, że mało co jest warta, ale pozwolił uczęszczać na swoje seminarium doktoranckie, prowadzone prywatnie i poza Uniwersytetem.

Skalkowski wpoił mi krytyczny stosunek do źródła. U Handelsmana nauczyłem się operowania dużą masą źródeł różnej prowienienncji; zadawania tym źródłom pytań, o których nie pomyśleli poprzedni badacze tematu. Z ogromną przyjemnością wspominam te seminaryjne spotkania w szczupłym gronie inteligentnych młodych ludzi, kiedy to zaprzyjaźniłem się z Widerszałem, Rusjanem, Małowistem, ks. Żywczyńskim, Kalikstem Morawskim. Różniło nas pochodzenie społeczne i polityczne poglądy, jednoczyło zamiłowanie do pracy — profesor zaś równie życzliwie traktował ucznia-katolika, jak i komunistę, pod warunkiem, że będzie pracował uczciwie. W tym nowym dla mnie środowisku wyzbyłem się też balastu konserwatywnych i nacjonalistycznych uprzedzeń, którymi nasiąkałem za młodu.

Bezcenną pomoc wyświadczył mi Handelsman, wskazując mi temat pracy doktorskiej: powstanie poznańskie 1848 roku. Temat duży, politycznie aktualny, dotąd opracowywany nieudolnie, z obfitą dokumentacją, dotąd nie wykorzystywaną. Przede wszystkim wchodziły w grę prowincjonalne akta władz pruskich, przechowywane w Archiwum w Poznaniu. Redagowane słabo czytelną „szwabachą” zniechęcały dotąd polskich badaczy. Przerobiłem wiele tomów owych akt, które wypożyczałem z Poznania do Warszawy.

Na miejscu miałem zbiory Rapperswilskie, w Krakowie — Muzeum Czartoryskich, w Poznańskim dzięki prywatnym stosunkom dotarłem do wielu dworów, gdzie przechowywano rodzinne papiery z 1848 roku: do Lewkowa, Niegolewa, Wierzenicy, Kościelca itd. Większość tych dokumentów posłała potem na przemiał w czasie Warthegau. W samym Poznaniu Skalkowski wskazał mi kilka pudeł papierów różnych władz powstańczych, przez nikogo dotąd nietkniętych. W końcowej fazie kwerendy skorzystałem na polityce Becka i na jego zbliżeniu z Hitlerem. Jako jeden z nielicznych Polaków uzyskałem w latach międzywojennych dostęp do Geheimes Preussisches Staatsarchiv w Berlinie. Spędziłem tam parę tygodni latem 1934 r., w czasie między rozprawą Hitlera z Roehmem a śmiercią Hindenburga. Gorąca atmosfera polityczna wcale mnie nie oderwała od archiwum: dzień po dniu pracowałem w Dahlem nad aktami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ministerstwa Wojny, tyżącymi się Poznańskiego. W owych to latach nauczyłem się pracować dużo i szybko, wychwytywać istotę rzeczy z długich memoriałów, notować i notować... O zamawianiu mikrofilmów nikt jeszcze wtedy nie słyszał — ani ja nie wzwyczałem się do tych innowacji technicznych, do dziś posługuję się techniką pracy z pierwszej połowy stulecia.

Wykorzystałem, jak się zdaje, w pełni ten fakt, że w ciągu siedmiu lat po ukończeniu studiów nie podjąłem zawodowej, tzn. etatowej pracy, oddany wyłącznie własnemu badaniu i pisarstwu. W takich warunkach znajdują się dzisiaj liczni pracownicy instytutów Akademii Nauk; sądzę, że nie sprawiłem się gorzej od nich, mimo że korzystałem też z przywilejów młodości: bawiłem się, tańczyłem, interesowałem się literaturą i sztuką, kinem i teatrem. Pływałem nawet trochę na kajaku. Napisałem pierwszą wersję swej doktorskiej dysertacji w 1933 r. — i tym razem nie bez trudu. Dziś jeszcze mógłbym wskazać strony, nad którymi namęczyłem się rozpaczliwie. Ale Handelsman pochwalił mój tekst — i wówczas po raz pierwszy wydało mi się, że może jednak coś w życiu osiągnę. W następnym 1934 r. zrobiłem w Warszawie doktorat, co odbywało się wtedy o wiele prościej, niż dziś. Tak więc ślubowanie doktorskie składałem pojedynczo, nie musiałem nakładać togi i cała ta łacińska ceremonia nie trwała nawet kwadransa. Potem, jak się rzekło, uzupełniałem kwerendę w Berlinie i gdzie indziej, przerobiłem gruntownie swój tekst, a Handelsman wprowadził go do serii „Rozpraw historycznych Towarzystwa Naukowego Warszawskiego”. *Spoleczeństwo polskie w powstaniu poznańskim 1848 roku* ukazało się w połowie 1935 r. Książka prezentowała się znacznie mniej okazale niż wcześniejszy *Ignacy Działyński*, ale była przynajmniej coś warta. W 25 lat potem wydałem ją raz jeszcze, z nie tak bardzo wielu przeróbkami.

Honorariów za książki młodym autorom przed wojną nie wypłacano, a i posady doktorat nie zapewniał. Bardzo szczęśliwie miałem już wtedy zapewnione zajęcie na następnych lat kilka. Ktoś życzliwy zarekomendował mnie rodzinie książąt Sapiehów jako pilnego i obiecującego historyka. Zaproponowano mi opracowanie życiorysu „czerwonego księcia” — Adama Sapiehy. Była to postać barwna, ale i kontrowersyjna, zamieszana w przeróżne konspiracje pomiędzy rokiem 1863 a schyłkiem lat 80-tych. Rodzinie (m.in. też metropolicie krakowskiemu) zależało na wystawieniu pomnika tej postaci, o której w konserwatywnych kołach mówiło się źle. Otrzymy-

wałem więc dostęp do ogromnie bogatych i nikomu dotąd nieznanych archiwów sapieżyńskich, co stanowiło dowód zaufania. Mogłem też liczyć na zwrot kosztów pobytu w czasie niezbędnych wyjazdów poza Warszawę. Podjąłem tę propozycję bardzo chętnie, nawet sobie nie zdając sprawy, na czym polega główny jej pożytek. Praca doktorska — tylko co ukończona — tyczyła się Poznańskiego; była to dziedzina, w której łatwo i nawet z pożytkiem mogłem utkwąć na resztę życia. Sapieżyński obstalunek przerzucił mnie do zaboru austriackiego i w drugą połowę XIX wieku. Rozszerzały mi się tym samym horyzonty, chociaż działo się to za sprawą przypadku, nie zaś z góry powziętego planu.

Zimą 1934/5 spędziłem we Lwowie, przerabiając w Ossolineum obfite galicjana, w tym również zdeponowaną tam spuściznę Sapiehów. Znaczna jej część pozostawała jeszcze w rękę rodziny w Krasieczynie, gdzie spędziłem też parę tygodni następnego lata. Sporo czasu zabrała mi kwerenda w Krakowie; w początku 1936 r. dotarłem do Wiednia i wytypowałem sobie materiały, które wypożyczałem do Warszawy. Pisałem książkę następnej zimy 1936/7 i referowałem ją, tak jak poprzednią, na seminarium Handesmana. Pisanie szło mi tym razem znacznie łatwiej, bo też postać mego bohatera zdała mi się szczególnie sympatyczną. Człowiek to był z wielkopąską fantazją; na demokratów galicyjskich patrzył z wysoka i wyprowadzał ich w pole bez skrpułów; ale stanowczo odcinał się też od szwarcgelberów i stańczyków, a udział w roku 1863 opłacił więzieniem. Nie zamierzałem „Adasia” idealizować (i jeden z jego wnuków miał mi to mocno za złe), ale nie przeczę, że pozostawałem pod jego urokiem. Gruby tom, bogato ilustrowany, ukazał się w Ossolineum — oczywiście nakładem rodziny — w grudniu 1938, z datą następnego roku na okładce. Dla mnie było to osiągnięciem, ale zdaje mi się, że i Sapiehowie skorzystali na owej transakcji.

Nowa wydana książka otwierała przede mną widoki habilitacji, ale tego już nie dało się załatwić przed wybuchem wojny. Tymczasem chciałem się żenić, a to wymagało ustabilizowania się, objęcia posady. Wyrobił mi ją Handesman, co mu nie przyszło łatwo, jako że nie miał dobrych stosunków z sanacyjną władzą. Od 1 czerwca 1937 r. podjąłem pracę w Archiwum Skarbowym w Warszawie, na skromnym stanowisku adiunkta, później archiwisty. Archiwum właśnie przeprowadzało się, gdyż stara jego siedziba iść miała do rozbiórki. Przeprowadzka ta okazała się dobrą okazją dla zapoznania się, tom po tomie, z wielkim zespołem Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu. Spędziłem w tym Archiwum siedem lat i dwa miesiące, do wybuchu powstania. Inwentaryzowałem akta niektórych władz zarządzających dobrami państwowymi w Królestwie Kongresowym. Rychło przekonałem się, że po siedmiu godzinach pracy urzędowej niewiele pozostaje animuszu dla badań własnych. Nie żałuję mimo to owego stażu archiwalnego. Wdrożyłem się do problemów, dotąd dla mnie obcych: historii administracji, historii gospodarczej, m.in. agrarnej i w ogóle spraw zaboru rosyjskiego. Materiały, nad którymi pracowałem, uległy zniszczeniu niemal w stu procentach, rozpoznane przez historyków w niewielkim tylko stopniu.

W ciągu dziewięciu lat po ukończeniu studiów wydałem dwie solidne książki, ale poza tym nie bardzo dałem się poznać. Z natury nieśmiały,

stroniłem od koleżeńskich kontaktów, nie bywałem na zjazdach historycznych. Ogłosiłem do roku 1939 parę naukowych recenzji i parę miscellaneów; od czasu do czasu udawało mi się zamieścić w „Kurierze Warszawskim”, na zasadzie (jak by się dziś powiedziało) „chałtury”, jakiś rocznicowy artykuł. W sumie dorachowuję się aż do wybuchu wojny ledwie 18 pozycji — raczej niewiele według norm dzisiejszych. W 1938 r. Handelsman zmobilizował mnie do udziału w sesji Towarzystwa Miłośników Historii na 75-lecie powstania styczniowego. Miałem referat o udziale Galicji w powstaniu; w samej rzeczy wszedłem w kontakt z rokiem 1863 za pośrednictwem Adama Sapięhy. Po uporaniu się z tą książką obrałem sobie jako następny temat historię cerkwi unickiej w Galicji Wschodniej. Pomysł nie był mój własny, ale Departamentu Wyznań w Ministerstwie WR i OP. Było warto wziąć się do tego problemu, ale wojna wybuchła, kiedy ledwie zacząłem się do niego przymierzać.

4

Pierwszy września zastał mnie w Archiwum Skarbowym, gdy żona moja z rocznym synkiem, bawiąca na wakacjach w Milanówku, została rychło odcięta od Warszawy. Odnośnie wojska miałem tzw. kategorię C i mobilizacja mnie nie dotyczyła. Nie dotarł też na szczęście do mej świadomości słynny rozkaz pułkownika Umiaszowskiego, wzywający mężczyzn do opuszczenia miasta. Czas oblężenia spędziłem na najwyższym pięttrze kamienicy Wiejska 11, w mieszkaniu mego szwagra Michała Sobańskiego, który pracował w „Kurierze Warszawskim”. Nie bardzo zastanawiając się nad rozmiarem niebezpieczeństwa i nie zważając na okoliczne pożary, robiłem dla „Kuriera” notatki z nasłuchu zagranicznego radia. Pierwszy raz w życiu czułem się ważny i do czegoś doraźnie przydatny. Kapitulację odczułem jako szok, choć wielu warszawiaków witało ją z odcieniem ulgi.

Archiwa w GG zostały poddane nadzorowi okupacyjnemu Archiwatu, który zwolnił w Archiwum Skarbowym połowę personelu. Mnie jednak zatrzymano; formalnie rzecz biorąc kontynuowałem prace inwentaryzacyjne podjęte przed wojną. Uzyskałem niemiecką legitymację, która zdawała się zapewniać jakieś minimum bezpieczeństwa. Wyżyć z pensji oczywiście nie mogłem, do robienia interesów nie czułem powołania, na razie żyłem z wyprzedawania dobytku. Niezdolny do bezczynności, kontynuowałem w Bibliotece Publicznej lekturę nad zapoczątkowaną przed wojną tematyką unicko-ukraińską. Mniej więcej po roku materiał ten się wyczerpał. W końcu 1940 r. wziąłem się do konspiracji, tak jak i całe inteligenckie środowisko w Warszawie. Podjąłem pracę w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej ZWZ/AK. Odnalazłem tam bardzo wielu kolegów — historyków; w samej rzeczy robota informacyjna, mianowicie analiza źródeł, przypominała styl pracy historyka, do którego byliśmy wdrożeni. Prowadziłem w pionie informacji referat zachodni, opracowywałem dla Komendy Głównej napływający materiał polski i niemiecki, tyżący się stosunków na obszarach wcielonych do Rzeszy. Robota papierkowa, ale w konspiracyjnych warunkach nie wolna od ryzyka. Biegało się dużo po mieście i to przeważnie z „bibułą” w kieszeni; każda osobista rewizja równałaby się wpadce.

Fakt ponoszenia ryzyka, udział w powszechnym ruchu oporu stanowił dla mnie wewnętrzne, moralne podtrzymanie. *Ex post* miałem się przekonać, że służba podziemna pozwoliła mi lepiej zrozumieć niejednen aspekt ruchu niepodległościowego w XIX wieku.

Niektórzy polscy wydawcy starali się podczas okupacji lokować kapitał uzyskany z likwidacji remanentów, zamawiając u autorów nowe rękopisy, z myślą o produkcji powojennej. Była to jakaś forma pomocy materialnej dla głodujących pisarzy. Właściciel firmy M. Arct zaprojektował serię na pół popularnych życiorysów wybitnych twórców polskich. Mnie zaproponowano, nie wiem już za czyim pośrednictwem, napisanie życiorysu Michała Bobrzyńskiego, historyka i namiestnika Galicji. Zebrałem dostępny w warszawskich bibliotekach materiał drukowany i napisałem życiorys ów, nie bardzo długi i na pewno daleki od doskonałości. Przydało mi się to studium na potem, ze względu na problemy historii historiografii oraz na galicyjskie sprawy po roku 1900, które dotąd były mi obce. Pisałem w ciągu drugiej okupacyjnej zimy, zgrabiała ręką i opatulony w koce, bowiem temperatura w mieszkaniu nie podnosiła się zbyt wiele ponad zero. Rękopis swój oddałem Arctowi — niestety nie przetrwał powstania. Z moich ówczesnych rozważań nad znakomitym autorem *Dziejów Polski w zarysie* zrodził się po wojnie nieduży artykuł, zamieszczony w „Przeglądzie Historycznym”.

Bodajże na jesieni 1943 r. trafił do mnie profesor Kowalenko i zaproponował podjęcie wykładów na tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich. Odmówiłem mimo nalegań i mimo argumentacji, że obowiązkiem uczonego jest uczenie, nie zaś konspirowanie. Mnie zaś zdawało się, że przy jednym, jawnym etacie w Archiwum Skarbowym i drugim, tajnym, w BIP-ie, na trzecie zajęcie już nie znajdę czasu. Poza tym obawiałem się zawodu nauczycielskiego, którego dotąd nigdy nie uprawiałem; nie wiedziałem, jak sobie dam radę z przygotowaniem zajęć w anormalnych warunkach wojennych.

Okupacyjne przeżycia nie mieszczą się w tym zarysie i wymagałyby oddzielnego opracowania. Latem 1944 r. znajdowałem się wystarczająco blisko Komendy Głównej AK by wiedzieć, że czeka Warszawę powstanie; nie tak blisko, by orientować się w tragizmie sytuacji. Dwóch małych synków wyprawiliśmy do krewnych pod Krakowem; moja żona, spodziewająca się trzeciego dziecka, tym razem została ze mną. Rano 1 sierpnia znalazłem się ostatni raz na Mokotowie, na konspiracyjnej „skrzynce”; popołudniowy rozkaz mobilizacyjny już do mnie nie dotarł. Wybuch zaskoczył mnie w domu przy ul. Czerwonego Krzyża, między liniami frontu. Hitlerowcy podpalili ten dom prawie natychmiast. W ciągu kilku następnych godzin uczestniczyłem w daremnym ratownictwie. W środku nocy zostałem ranny w krtań i wyniesiono mnie w bezpieczniejsze miejsce w stanie ciężkim. Dwa tygodnie przeleżałem w szpitaliku dzieciennym przy ul. Kopernika. Z wielkim trudem wracałem do sił i na razie zdawało mi się, że już nigdy nie odzyskam głosu. Myślałem sobie: może i przeżyję powstanie, lecz profesorem już nigdy nie zostanę. W końcu sierpnia żona moja urodziła szczęśliwie córeczkę. Nie chciałem opuszczać ich obu i dla tego nie zdecydowałem się przejść na południe Alei Jerozolimskich wraz z kolegami z BIP-u. W pierwszych dniach września Niemcy wywieźli nas do Pruszkowa; tam

odłączono mnie od żony i córki i wyprawiono wraz z dużym transportem cywilnych warszawiaków do Dachau.

Prawie siedem miesięcy spędziłem kolejno w trzech niewielkich obozach koncentracyjnych w Wirtembergii i Badenii. Na jakiś czas, dzięki znajomości języka niemieckiego, mogłem się zadekować w „Schreibstube” — w ogóle zaś na schyłku III Rzeszy ludzie w kacetach nie ginęli już tak masowo. Mimo to, gdy ostatniego marca 1945 r. wyzwolili nas Amerykanie, przypominałem z wyglądu szkielet pokryty wrzodami i nie bardzo mogłem utrzymać się na nogach. Zdobyłem owego roku dwa dalsze doświadczenia: zakosztowałem polskiej martyrologii i (już po wyzwoleniu) polskich swarów emigracyjnych. Jedno i drugie miało mi się przydać w studiach nad wiekiem XIX.

Wbrew opinii wielu ludzi z otoczenia chciałem wracać do kraju, gdy tylko się da: raz ze względu na żonę i dzieci; po wtóre zaś, że nie widziałem celu w zajmowaniu się historią Polski poza Polską.

5

Nie miałem zrazu dość sił na to, by puszczać się w powrotną drogę samodzielnie. Zabrałem się pierwszym regularnym transportem reewakuacyjnym i stanąłem w Krakowie w ostatnich dniach października 1945 r. Dzięki wiktowi UNRRA byłem znowu sprawny fizycznie, ale obdarty i bez grosza oraz zupełnie nie zorientowany w tym, co mnie czekać może w Polsce Ludowej.

Wypadło mi bez zwłoki, na własną rękę rozwiązywać następujące problemy: 1) sprawę statusu naukowego, to znaczy habilitacji; 2) stałego zatrudnienia w jakiejś instytucji naukowej; 3) zjednoczenia z rodziną, mówiąc inaczej: własnego dachu nad głową; 4) dodatkowego zarobku, skoro z samej pensji nie sposób było wyżyć; 5) następnego z kolei tematu pracy badawczej. Sprawy te, jedną po drugiej, udało się pozalać w ciągu roku z okładem.

Podstawę habilitacji stanowić miała przedwojenna książka o Adamie Sapieże. Pomógł mi w tej procedurze na Uniwersytecie Jagiellońskim niezmiernie życzliwy dla mnie Józef Feldman. Ze słyszenia znaliśmy się od lat, jako pracujący nad tą samą dziedziną Wiosny Ludów, ale spotkaliśmy się przypadkiem i na krótko dopiero w konspiracyjnej Warszawie. Dzięki Feldmanowi odbyłem habilitację już w lutym 1946 r. — nie bez tremy, to jasne, jako że poddawałem się kolokwium wobec grona osób, dla których byłem człowiekiem obcym i nieznanym. Habilitant wygłaszał jeszcze wtedy próbny wykład, był to zaś pierwszy wykład w moim życiu, do tego mówiony z pamięci — nie wypadł więc na pewno gładko. Temat wykładu: sprawa włościańska i sprawa niepodległości w dobie porozbiorowej — sam sobie obmyśliłem, a to już oznaczało, że w nowej rzeczywistości zamierzałem zwrócić uwagę na problematykę społeczną. Znalazł się w tym wykładzie pierwszy rzut koncepcji, które miałem rozwijać stopniowo w ciągu następnych paru dziesięcioleci.

Sprawa etatu okazała się trudniejszą. Wprawdzie hekatomba wojenna otworzyła nowe możliwości dla młodych naukowców, którzy przeżyli, ale ja zjawiłem się dopiero w rok po wyzwoleniu, kiedy kadry nowych uczelni

już były z grubsza obsadzone. W Naczelnej Dyrekcji Archiwów powiedziano mi, że nie ma dla mnie miejsca. Na Uniwersytecie Jagiellońskim, jako nie krakowianin, nie miałem wielkich szans. Kolejno i bez powodzenia próbowałem szczęścia w Toruniu, Poznaniu, Kórniku i Wrocławiu. Latem 1946 r. odezwała się do mnie Warszawa. Nie zapomnieli o mnie dawni koledzy z seminarium Handesmana i z BIP-u. Wyjątkowo sprawnie załatwili w Ministerstwie Oświaty zatwierdzenie mej habilitacji. Z nowym rokiem akademickim podjąłem pracę w Instytucie Historycznym UW, odbudowanym z gruzów przez Tadeusza Manteuffla. Na razie jako profesor kontraktowy, gdyż nominacja na profesora nadzwyczajnego nastąpiła dopiero w 1949.

O mieszkaniu w samej Warszawie nie było chwilowo co marzyć. Dzięki przedwojennym znajomościom udało mi się wynająć prywatnie w Milanówku zrazu dwa, potem trzy pokoje, do których sprowadziłem żonę, trójkę dzieci i teściowę. Dojeżdżałem do Warszawy 4 razy w tygodniu, kolejką EKD, przeważnie stojąc w tłoku, żywiąc się w mieście byle jak, powracając do siebie po zachodzie słońca, do tego objuczony sprawunkami. Środy, soboty i niedziele poświęcałem na pracę w domu. Dopiero po dziewięciu latach dobiłem się na Mokotowie ZOR-owskiego M-4, które zajmuję dotychczas.

Nie stanowiły natomiast problemu „chałtury”. Bez trudu przyjmowały moje artykuły: zarówno „Tygodnik Powszechny”, jak i „Dziś i Jutro”. Po paru latach przerwałem tę współpracę dziennikarską, kiedy już stanąłem na nogach, a wołałem się nie rozpraszać. W kilku wydawnictwach, a także w Akademii Umiejętności pobrałem zaliczki na różne prace popularnonaukowe, i nawet wywiązałem się z tych zobowiązań, lecz żadna z owych robótek (może i słusznie) nie ujrzała światła dziennego. Peszyło mnie to, lecz nadal nie orientowałem się w szybkich zmianach sytuacji politycznej, rzutujących na koniunkturę naukową. Grzecznie polemizowałem w druku z Józefem Chałasińskim, Henrykiem Jabłońskim, Żaną Kormanową, wcale nawet nie zdając sobie sprawy z pozycji, jakie zajmowały podówczas te osobistości.

Temat nowej pracy naukowej nasunął się, jak zawsze, zbiegiem okoliczności. Znalazłem się w Krakowie na pogrzebie Eugeniusza Barwińskiego, byłego dyrektora Archiwum we Lwowie. Po ceremonii zaczepił mnie dyrektor Budka z Archiwum krakowskiego: oto po ś.p. Barwińskim pozostała na jego pieczy wielka sterta archiwalnych wypisów, dotyczących rzezi galicyjskiej 1846 r. Czybym czegoś nie zechciał z tym zrobić? Memu rozmówcy głównie zależało na tym, by do tej bezcennej dokumentacji nie dorwał się ktoś mniej obliczalny. Temat był niezmiernie drażliwy, w Polsce międzywojennej uważany za tabu, w Polsce Ludowej nadawał się do wykorzystania dla celów pozanaukowych. Nie orientując się w pełni w sytuacji ucieszyłem się po prostu z dostania do rąk tak obfitych wypisów z akt lwowskich i wiedeńskich, w tej chwili dla nas niedostępnych. Postanowiłem skorzystać z tej szansy, nie przewidując oczekujących mnie kłopotów.

Przystępowałem do pracy w Polsce powojennej w pełnym przekonaniu o nieuchronności dokonanych zmian politycznych, o słuszności reform społecznych. Dla mnie jako historyka doby porozbiorowej zdawał się płynąć stąd obowiązek zajęcia się problematyką społeczną, dotąd zaniedbywaną, w szcze-

gólności zaś kwestią agrarną. Nie od razu zdałem sobie sprawę, że od historyków będzie się oczekiwało adoptowania metodologii marksistowskiej. O materializmie historycznym nie miałem żadnego pojęcia, podstawowych jego zasad i terminologii uczyłem się dorywczo, w toku rozmów z kolegami i wydawcami, przysłuchując się też w milczeniu dyskusjom, zwłaszcza na dorocznych zjazdach PTH. Nowe propozycje metodologiczne zdawały mi się interesujące i warte wypróbowania, chociaż jeszcze nie odczuwałem przymusu, który by miał przydawać im rangę dogmatu.

6

Na pierwszy plan wysuwała się sprawa moich nowych obowiązków dydaktycznych. W 40 roku życia musiałem, jako profesor, z dnia na dzień nauczyć się uczenia innych. Zrozumiałe, że nie doszedłem w tej dziedzinie do perfekcji. Obowiązywało mnie w tygodniu 5 godzin wykładu monograficznego i 2 godziny ćwiczeń. Zacząć chciałem od historii Galicji, którą się zajmowałem przed wojną i do której miałem powrócić w związku z rokiem 1846. Logika nakazywała jednak zacząć wykład od I rozbioru, to jest pogrążyć się w wiek XVIII i w zgoła obcą mi problematykę józefińską. Szybkie opanowanie tego materiału wymagało ogromnego wysiłku, musiałem przecie opracować każdy wykład, zrobić bardzo dokładną jego dyspozycję. Wprawy w mówieniu z niewielu notatek nabyłem dopiero po wielu, wielu latach. Łatwo też mogłem zwątpić w celowość tego wysiłku. Na pierwsze moje zajęcia zjawił się tylko jeden słuchacz (dziś jest profesorem w Instytucie Historii PAN). Nigdy nie przyciągałem wielu słuchaczy, bo też nie byłem efektywnym wykładowcą. Wkrótce przekonałem się, że wykładanie pożyteczne jest przede wszystkim dla mnie samego. W drugim roku moich zajęć zażądano ode mnie, abym poprowadził jeden wykład z historii Górnego Śląska, a drugi o Wiośnie Ludów. Praca nad jednym i drugim tematem bardzo mi się w następstwie przydała. Ukulem sobie też aforyzm: jeśli chcesz nauczyć się czegoś nowego, zacznij na ten temat wykladać. To samo dotyczyło moich pierwszych ćwiczeń na temat przemian społecznych w Królestwie Kongresowym. Chodziło na te zajęcia kilkoro miłej młodzieży — prawie wszyscy są dziś pracownikami nauki.

Powtarzam, że mymi losami kierowały okoliczności zewnętrzne, bowiem kształtował je zwłaszcza rytm obchodów rocznicowych. Zbliżało się stulecie Wiosny Ludów. Po śmierci Handelsmana w 1945 i Feldmana w 1946 r. znalazłem się w czołówce specjalistów tego przedmiotu. Posypały się zamówienia, które tym razem trafiały do druku bez zwłoki. Zrobiłem, bardzo tandetny wybór źródeł dla Ossolineum i dwie popularne książeczki dla PZWS. Wyszły one w tak wielkim nakładzie, że finansowo stanąłem od razu na nogi. Profesor Natalia Gąsiorowska wciągnęła mnie do udziału w wydawnictwie pół-naukowym, obliczonym na kilka tomów. Dałem tu wersję skróconą swej dysertacji o powstaniu poznańskim oraz zupełnie nową rzecz o Galicji w 1848 r. W „Przeglądzie Historycznym” ukazała się rozprawa: *Sprawa włościańska w Galicji w 1848 roku*. Była to jedyna rzecz naprawdę solidna, jaką zrobiłem w czasie tego jubileuszu. Solidna, jak na powojenne warunki, kiedy wszyscy pracowali „łap-cap”, na byle materiałach, które im wpadały pod rękę.

W kwietniu 1948 r. zostałem włączony do delegacji polskiej na Kongres stulecia Wiosny Ludów w Paryżu. Poleciały nas cztery osoby, ale z nich tylko ja miałem coś do powiedzenia na ten temat. Musiałem więc odzywać się publicznie, chociaż nie bez tremy; zostało to zauważone, jeśli nie za granicą, to w kraju. Jesienią t. r. odbył się we Wrocławiu pierwszy po wojnie zjazd walny historyków polskich. Rewolucja 1848 roku została oczywiście uznana za jeden z centralnych tematów, mnie zaś powierzono referat na posiedzeniu inauguracyjnym. Dziś zdaję sobie sprawę, że było to wyróżnienie niesłychane, bowiem w środowisku profesorskim byłem dotąd *homo ignotus*. Wykład jednak był oklaskiwany rześcicie, z dnia na dzień stałem się sławnym (w historycznym gronie). Rzecz inna, że ów tekst nigdy nie ukazał się w druku, gdyż zaraz potem zaostrzyła się sytuacja ideologiczno-polityczna.

Pogrążony w książkach po uszy, rozmyślnie nie czytający gazet, wolałem ignorować to, co się wokół działo. Wkrótce zresztą zorientowałem się, że moje publikacje potykają się o przeszkody. Oddałem do Ossolineum monografię o rzezi galicyjskiej, która zdawała mi się nowatorska, zrywająca ze szlachecką legendą. W ślad za nią poszedł drugi, obszerniejszy jeszcze maszynopis *Sprawy włościańskiej w powstaniu styczniowym*. Obie ugrzęzły w wydawnictwie dla powodów, których mi nie objaśniono. W rzadkich odstępach czasu byłem wzywany na rozmowy z osobnikami, którzy wyrosli nagle na specjalistów od dziejów kwestii agrarnej. W dyskusjach tych wytykano mi błędność poglądów, z powołaniem się na klasyków. Rzecz godna uwagi, że jedynym wydawnictwem, w którym udało mi się coś ogłosić w owych najcięższych latach, okazała się „Książka i Wiedza”.

7

Na przełomie 1951/2 została zwołana do Otwocka „pierwsza konferencja metodologiczna historyków polskich”. W założeniu inicjatorów zebranie to miało uświęcić przejście naszej gałęzi wiedzy na pozycje marksistowskie. Stosownie do obowiązującego rytuału towarzyszyć miało temu obrządkowi wyklęcie kilku osób „nieprawomyślnych”. Akt oskarżenia wygłoszony pierwszego dnia obrad przez nie żyjącego już dziś publicystę — zaliczył i mnie do „czarnych owiec”. Szczęśliwy dla mnie zbieg okoliczności sprawił, że mój *Ruch chłopski w Galicji w 1848 r.* właśnie się wtedy ukazał po bardzo długiej zwłoce. Rozdawałem obecnym na sali egzemplarze autorskie. I oto nagle prezydium zarządziło przerwę kilkunastominutową. Za kulisami toczyły się narady osób wtajemniczonych, potem jedna z nich odciągnęła mnie na bok i oświadczyła, że wciągnięcie mnie na listę oskarżonych polegało na nieporozumieniu. Następnego dnia za sugestią tegoż rozmówcy zabrałem głos w dyskusji i ustosunkowałem się do nowego kursu... „allegro ma non troppo”, jak określili to moi koledzy. Publicznie potępiony został w Otwocku jeden tylko przyjaciel mój, Henryk Wereszycki.

Incident niniejszy stanowił tylko fragment szerszej i ważniejszej rozgrywki, która toczyła się poza moją wiedzą i wpływem. Wygrał tę partię Tadeusz Manteuffel, który uzyskał zgodę „czynników miarodajnych” na pozostawienie steru nauki historycznej w ręku dawnej kadry profesorskiej, uznanej za fachową i zgłaszającej akces do metodologii marksistowskiej. Wynikło stąd powołanie Instytutu Historii PAN, do którego też zostałem zaangażowany.

Placówce tej zlecono opracowanie zbiorowej, wielotomowej *Historii Polski*, mnie zaś i Witolda Kulę uczyniono redaktorami tomu II owej *Historii* obejmującego okres 1764—1864.

Otworło się przede mną nowe pole doświadczeń, w kierowaniu sporym zespołem. Pierwotnie miałem wziąć na siebie w owym tomie II odcinek końcowy, od 1846 r. Wiosnę Ludów „umiałem na pamięć”, ale powstanie styczniowe stanowiło dla mnie świeżą dziedzinę. Odkąd osiadłem w Uniwersytecie Warszawskim, uznałem za swój obowiązek zajęcie się historią Królestwa, której dotąd nie uprawiałem. Zacząłem ją wyklądać poczynając od roku 1815, lecz dosyć prędko dotarłem do lat 60-tych i wówczas temat zaczął mi się rozrastać. Wynikła stąd wspomniana już monografia o sprawie włościańskiej, która ujrzała światło dzienne w 1953 r. po różnorodnych przeszkodach, za cenę kilku wstawek i kilku opuszczeń. Na marginesie powstała popularna książeczka o Warszawie w powstaniu styczniowym, która doczekała się kilka wydań i miała duże powodzenie. Teraz dać miałem krótką, podręcznikową syntezę historii powstania.

Na tym się nie kończyły problemy naszego tomu II. Historia Oświecenia miała swoich specjalistów; odcinek 1815—1845 rozdzieliło między sobą kilku kolegów, których teksty wraz z Kulą musieliśmy dopasować do całości. Nie znalazło się amatora na odcinek 1795—1814. Z konieczności musiałem wziąć na siebie początek dziejów porozbiorowych i Księstwo Warszawskie. Zrobiłem to niedoskonale, bez samodzielnych studiów źródłowych, ale okazało się to następnym z kolei rozszerzeniem horyzontu. Tom II w trzech częściach ukazał się w formie makiety w 1956 r. i poddany został dyskusji we wszystkich środowiskach uniwersyteckich.

Łatwo zrozumieć, że na fali „października” była to dyskusja krytyczna. Wyrzucano nam schematyzmy, przeładowanie historią gospodarczą, przeczernianie obrazu, szarganie tradycyjnych świętości, głoszenie fałszywego (jak twierdzono teraz) ideału rewolucji agrarnej. Generalna debata nad makietał tomu II odbyła się na wiosnę 1957 r. w Sulejówku. Znaleźliśmy się (mówię o zespole autorskim) pod różnostronnym obstrzałem. Atakowali nas zarówno tradycjonałści, powracający do głosu, jak i wesorajsi marksści, którzy zmieniali barwę pod wpływem okoliczności. W słowie końcowym stanąłem w obronie „makiety”, a ściślej biorąc, w obronie własnego tekstu. W imię dążenia do prawdy historycznej dowodziłem, że nie można już dzisiaj pisać historii „po staremu”. Pociągnąłem salę za sobą, był to największy chyba mój sukces życiowy. Swoją drogą, w definitywnym wydaniu tomu II *Historii* uwzględniliśmy znaczną część zgłoszonych w Sulejówku postulatów.

Wybiegłem nieco naprzód, bowiem na rok przed „październikiem” przeżyliśmy inną imprezę — rok Mickiewiczowski. Historycy XIX w. szerokim frontem włączyli się do tej celebry, mnie zaś przypadła w niej podwójna rola. Wygłosiłem w Pałacu Staszica kluczowy referat o problemie rewolucji agrarnej, który wypadło uzgadniać zawczasu w licznym gronie teoretyków. Następnie zaś musiałem się zająć Mickiewiczem — rewolucjonistą. Ta znów dziedzina zaowocowała kilku pozycjami; książką o Legionie Mickiewicza, wstępem do reedycji *Trybuny Ludów*, wydaniem *Listów legionistów Mickiewicza*, które przygotowała pod mym kierunkiem Hanna Lutzowa, późniejsza moja doktorantka.

Mickiewiczowskie stulecie uczcili także Włosi; w listopadzie 1955 r. występowałem na uroczystej akademii, na rzymskim Kapitolu. Pierwszy to i ostatni raz przemawiałem wówczas po włosku! Tak zaczęły się moje stosunki z historykami włoskiego Risorgimento, którzy zapraszali mnie niemal rokrocznie na własne obchody rocznicowe. Wygłosiłem w związku z tym niejeden referat w różnych miastach włoskich, aż po rok 1972, kiedyśmy obchodzili stulecie śmierci Mazziniego. W ogóle rok 1955 przyniósł historykom polskim nawiązanie kontaktów z Zachodem, urwanych w czasie „zimnej wojny”. Znaleźliśmy się więc na X kongresie międzynarodowym w Rzymie, gdzie wygłosiłem referat o paraleli kwestii agrarnej we Włoszech i w Polsce w XIX w. W następnym roku wybrałem się do Paryża, w 1957 do Londynu, tu i tam pracowałem w archiwach nad międzynarodowymi aspektami powstania styczniowego.

8

Już bowiem nadciągała następna setna rocznica: 1963! Uczciłem ją osobiście monografią o Andrzeju Zamoyskim — niedużą, ale wyjątkowo bogato udokumentowaną. Analizowałem w niej ideologię i taktykę obozu białych, co ujmował lapidarnie tytuł książki: *Między ugodą a rewolucją*. W tym jubileuszowym roku przypadał też IX powszechny zjazd historyków polskich w Warszawie, na którym zorganizowałem sekcję powstania styczniowego i miałem też referat plenarny. Rocznicą 22 stycznia przypadła na „zimę stulecia”, różne przemówienia okolicznościowe wygłaszałem w mroz trzaskająca i w lodowatych pomieszczeniach. Przede wszystkim jednak rocznica ta umożliwiła podjęcie ogromnego wydawnictwa źródeł, zatytułowanego: *Powstanie 1863 r. Materiały i dokumenty*.

Inicjatywa i tym razem przyszła z zewnątrz, z Instytutu Słowianoznawstwa w Moskwie. Bezpośrednio po już wspomnianej konferencji w Sulejówku (1957) zwrócił się do mnie pracownik tej placówki, I. S. Miller, doskonale znający język i historię Polski, oferując pomoc i współpracę. Podpisano porozumienie między Akademią obu krajów, powstała polsko-radziecka komisja mieszana dla spraw wydawnictwa, zaczęliśmy wydawać tomy źródeł i w Polsce i w ZSRR. Zainteresowane były tą imprezą obie strony, nam zależało przede wszystkim na udostępnieniu ogromnie bogatych archiwaliów radzieckich, dotyczących historii Polski XIX wieku. Od tego czasu zdarza mi się bywać w Moskwie, jeśli nie co roku, to co dwa lata, dzieląc czas pomiędzy dyskusję z fachowymi przyjaciółmi a pracę archiwalną. Polsko-radziecka firma dała „zielone światło” naszemu przedsięwzięciu: w ciągu dwudziestu lat z górą ogłosiliśmy ponad dwadzieścia grubych tomów źródeł, w znacznym odsetku nieznanych lub dawno zapomnianych. Miałem bezpośredni udział w wydaniu przeważnej części tych tomów; były wśród nich *Dokumenty Komitetu Centralnego i Rządu Narodowego* (2 tomy), reedycja prasy tajnej 1861—64 (3 tomy), poufna *Korespondencja namiestników Królestwa Polskiego* (4 tomy), parę tomów zeznań śledczych itd. Stworzyliśmy ogromny i poręczny warsztat dla dzisiejszych i przyszłych badaczy powstania styczniowego.

Miałem już za sobą nieco doświadczeń edytorskich, udawało mi się od czasu do czasu wyławiać i ogłaszać niewielkie ciekawostki. Natrafiłem więc

w Bibliotece Narodowej na pasjonujący zestaw zaszyfrowanych listów Mieczysława Waligórskiego z 1863 r. Rozszyfrowałem owe kryptonimy i ogłosiłem tę korespondencję, która rzuciła duże światło, m.in. na genezę dyktatury Langiewicza. Sporządziłem też nowe wydanie pamiętnika Juliana Łukaszewskiego z tegoż roku. I tu prawie wszystkie nazwiska określone były jedynie inicjałami, które udało mi się odcyfrować. W Muzeum Mickiewicza w Paryżu odnalazłem anonimowy, cenny pamiętniczek, spisany tuż po upadku powstania straszliwą francuszczyzną. Określiłem osobę autora (był nim Adolf Pieńkowski) i wydałem ów tekst w poprawnym tłumaczeniu polskim. Zabawiałem się także rozwiązywaniem szyfru, którym pisane były depesze Traugutta, przechowywane u księży Marianów w Fawley Court pod Londynem. W ogóle bawi mnie praca edytorska, jeżeli wymaga pokonania jakichś szczególnych przeszkód. Tu wchodzi w grę np. „grypsy” więzienne, m.in. Henryka Schmitta z 1846, Władysława Padlewskiego z 1863 r., kreślone ołówkiem na skrawkach papieru, przechowywane z pietyzmem w rodzinie, dzisiaj już ledwie czytelne — a jakże wzruszające! W niedawno sporządzonym, drugim wydaniu *Pamiętników* Tadeusza Bobrowskiego zadałem sobie trud opracowania olbrzymiego indeksu, w którym starałem się określić personalia całego mnóstwa osób, również trzeciorzędnego znaczenia.

Podsumowaniem ćwierćwiekowej pracy nad rokiem 1863 miała się stać synteza: *Powstanie styczniowe*, ogłoszona dopiero w 1972 r. — najobszerniejsza z książek, jakie napisałem dotąd. A przecież nie była to pełna historia powstania, a tylko przegląd wybranych zagadnień. Odbiegał on też w wielu szczegółach od utrwalonych tradycji. Jerzy Urban wyraził się dowcipnie w „Szpilkach”, że sądząc z tej mojej książki organizacja powstania styczniowego była fantastyczna, natomiast strona militarna wręcz żałosna. Wbrew temu, czego nakazywałyby się spodziewać obiegowy pogląd o charakterze narodowym...

Nim jeszcze doszło do zamknięcia mojej pracy nad rokiem 1863, wypadło mi się zwrócić w zupełnie innym kierunku, na teren badań, którego dotąd nie uprawiałem. Już w roku 1955, kiedy to dobiegały końca prace nad tomem II *Historii Polski*, mój szef Manteuffel wezwał mnie do objęcia redakcji następnego tomu III, to jest okresu 1865—1918. Odmówiłem stanowczo, jako że nic się nie znałem na czasach popowstaniowych, a obawiałem się też trudności z poprawnym odtworzeniem historii i ideologii polskiego ruchu robotniczego. Wykręciłem się więc, a wspomniany tom III dojrzał bez mego udziału w ciągu następnych lat kilkunastu. A jednak praca nad owym okresem nie miała mnie ominąć. Na VIII zjeździe historyków polskich w Krakowie (1958), tym razem wyjątkowo z własnej inicjatywy, zgłosiłem referat o pracy organicznej. Szło mi o nowe spojrzenie na drugi aspekt naszych dążeń niepodległościowych, równoległy do spisków i powstań. Moja próba ujęcia była w konkluzji krytyczna, w ogóle zaś została źle przyjęta; rozwinąłem więc swój punkt widzenia w niewielkiej książeczce, którą zatytułowałem: *Dramat trzeźwych entuzjastów*. Tytuł ów się spodobał; organicznikom naszym przyznano epitet „trzeźwych entuzjastów”, nie zawsze godząc się z moim poglądem, by przeżywali oni kiedykolwiek jakiś dramat.

Zainteresowanie pracą organiczną zaprowadziło mnie jednak w czasy popowstaniowe; zająłem się między innymi Prószyńskim-Promykiem, patro-

nem Jackowskim, Stanisławem Szczepanowskim. Studiowałem mnożące się monografie dotyczące się przełomu XIX i XX wieku, niektóre recenzowałem. Otóż niebawem pani Natalia Karpowska z redakcji historii PWN bardzo słusznie zwróciła uwagę na brak uniwersyteckiego podręcznika historii Polski, jako że zbiorowe opracowanie Instytutu Historii PAN przerastało potrzeby studenta, skądinąd zaś już po niewielu latach zdawało się przestarzałe. Zgodziliśmy się na to, że nowy podręcznik powinien mieć trzy tomy oraz że ja opracuję tom środkowy: 1795—1918. Wziąłem ten obstalunek na serio. Pierwszą połowę zadania miałem ułatwioną, skróciłem bowiem tylko, uzupełniłem i wygładziłem odnośne partie tomu II *Historii* Instytutowej (Kieniewicz-Kula). W drugiej, popowstaniowej połowie podręcznika mogłem posłużyć się wydanym właśnie tomem III tejże *Historii*, na razie doprowadzonym do 1900 r. Zresztą korzystałem z wielu prac szczegółowych, a także z rad życzliwych przyjaciół. Zadanie miałem trudne, ale dopiero po doprowadzeniu wykładu do 11 listopada 1918 roku mogłem się zdobyć na syntetyczne, kilkustronicowe ujęcie dziejów Polski okresu niewoli. Ów tekst końcowy, przedrukowywany kilkakrotnie, spotkał się z niejakim rozgłosem. Moja *Historia Polski 1795—1918* ukazała się w roku 1968 jako tom II zapowiedzianej trzytomówki. Natomiast moi partnerzy nie wywiązali się ze swych zobowiązań i w związku z tym mój tom II w następnych wydaniach ukazywał się już jako pozycja samodzielna, uzupełniana i retuszowana w miarę postępu badań. Dziś w druku jest wydanie V, co zdaje się świadczyć, że podręcznik sprawdził się i wszedł w użycie, nie tylko na Uniwersytecie Warszawskim.

9

O własnej mojej uniwersyteckiej pracy też trzeba coś powiedzieć. Jej styl zmienił się znacznie od pierwszych lat powojennych. Przeszliśmy na system zajęć kursowych, tak że przez wiele lat wykladałem w kółko historię Polski 1764—1864 studentom III roku. Zrazu bawiło mnie opracowanie i ulepszanie takiego kursu; potem znudziło mi się coroczne „odbębnianie” tej samej historii, coraz też mniej potrzebne, po wyjściu w świat *Historii* Instytutowej. Staralem się co roku sprofilować nieco inaczej ów kurs, rozwijając na przemian coraz to inne zagadnienia, zawsze jednak w ramach stulecia. Miałem ponadto wykłady monograficzne, w niewielkim wymiarze. Te znacznie bardziej lubiłem, chociaż mało kto na nie uczęszczał. Ich tematyka zwykle wyprzedzała opracowywane przeze mnie monografie, była jak gdyby pierwszą próbą „przystawienia się” do nowo podjętego zagadnienia. Jako wykładowca na III roku egzaminowałem podczas sesji czerwcowej do stu osób rocznie (wliczając poprawki we wrześniu), z tegoż samego kursu 1764—1864. Nie znam zajęcia bardziej wyczerpującego nerwowo nad egzaminowanie, jeżeli chce się je traktować odpowiedzialnie. Owych parę tygodni „odpytywania” zaliczałem do najcięższych w każdym roku akademickim.

Student na III roku (w systemie studiów pięcioletnich) obierał sobie seminarium; każdego więc początku października trafiało do mnie osób kilkoro. W pół roku potem trzeba im było obmyślić tematy prac magisterskich i pokierować nimi aż do egzaminu końcowego. Również i tu pozostawaliśmy

przeważnie w kręgu mych własnych, kolejnych zainteresowań: zrazu konspiracji pomiędzy powstaniami, następnie powstania styczniowego, później jeszcze dziejów Warszawy. Nie stałem się sprawnym pedagogiem, nie nauczyłem się prowadzić zajęć w sposób zajmujący, skłonić słuchaczy do aktywnego udziału. Dużo jednak wysiłku wkładałem w pracę indywidualną z każdym magistrantem: i tym zdolnym, i tym kulejącym. Wypromowałem ich około 170 w ciągu lat z górą trzydziestu — i każdy egzamin końcowy przeżywałem równie radośnie jak wchodzący w grę „solenizant”.

Odrębne seminarium doktoranckie sformowałem około 1957 r. Nigdy nie liczyło więcej osób niż kilka i to prawie wyłącznie wolontariuszy spoza Uniwersytetu, w znacznej liczbie spoza Warszawy. Żywiłem prawdziwy szacunek dla tej młodzieży, która porywała się na trudną pracę, na marginesie swych zajęć zawodowych, bez stypendiów, bez szczególnych ułatwień ze strony zwierzchności. Zabiegali oni o ten stopień naukowy w nadziei awansu życiowego, ale i ze szczerego zamiłowania. Starłem się pomóc im, aby ich dysertacje wypadły jak najlepiej, wspólny mozół nasz ciągnął się nieraz latami. Liczba promowanych przeze mnie doktorów zbliża się dziś do pięćdziesiątki. Jakaś ich część po prostu się nie sprawdziła; inni awansowali w pragmatyce służbowej; jeszcze inni wyrosli na samodzielnych pracowników nauki. Nie wytworzyłem tego, co by się mogło nazwać „szkołą historyczną”. Nie widzę wśród swoich uczniów kontynuatorów własnego dzieła. Spośród tych niewielu najzdolniejszych każdy poszedł swoją własną drogą. Tak jest dobrze i pożytecznie.

Zainteresowania moich doktorantów okazywały się bardziej rozstrzelone w porównaniu do magistrantów. Większość tematów trzymała się Kongresówki albo emigracji, w granicach 1830—1864. Ale wypadło mi też opiekować się dysertacjami z początku XIX wieku, albo i z czasów nowszych, nawet międzywojennych — także tyjących się zaboru pruskiego, Galicji, Kresów Wschodnich. Niejednego nauczyłem się od własnych uczniów: kiedy do czegoś doszli wcześniej ode mnie albo tylko zmusili mnie do zwrócenia uwagi na jakieś nowe zagadnienie. Dydaktyka uniwersytecka pochłania, owszem, bardzo wiele czasu, za to w szczególny sposób stymuluje badacza, sprzyja krystalizowaniu się nowych pomysłów, rozszerza kręgi zainteresowań poza plany badawcze, zaprogramowane z góry.

Przewijali się przez moje seminarium sympatyczni stypendyści cudzoziemscy, także spoza Europy. Ci rzadko kiedy osiągnęli doktorat w Warszawie, lecz wielu z nich podtrzymuje ze mną kontakt z daleka, przysyła mi też odbitki swoich prac z historii Polski, m.in. także w języku japońskim. Również i ja wykładałem za granicą: przez jeden semestr w Moskwie, dwa razy po trzy miesiące w Paryżu, raz przez pół roku w Chicago. Przygotowanie zajęć mych w obcym języku było zawsze znacznym wysiłkiem, w Chicago pochłaniało mi cały czas wolny. Współpracę z amerykańskimi studentami, tak bardzo bezpośrednimi w dyskusji, zaliczam do prawdziwych przyjemności. Inaczej rzecz się miała w Paryżu, gdzie moje wykłady nikogo prawie nie interesowały, a za to miałem dość czasu na własne poszukiwania. W połowie 1968 r. wróciłem z Chicago i dowiedziałem się, że w styczniu 1970 mam na pół roku jechać do Paryża. W ciągu tych 18 miesięcy, które spędziłem w kraju, „machnąłem” 800 stron *Powstania styczniowego*, które

następnie jeszcze trochę uzupełniałem. Sztukę naukowego pisania nabywa się latami, wprawą. Kiedyś była dla mnie ciężkim trudem, dziś idzie znacznie szybciej, lecz nadal nie bez oporu. Definitywny mój tekst może komuś zdawać się gładki, lecz jest on zawsze wynikiem licznych poprawek, skreśleń, uzupełnień, w toku wielokrotnego odczytywania.

10

Wyrobiłem sobie w ciągu wielu lat markę badacza i pisarza; nauczyłem się lepiej-gorzej pełnić funkcje profesorskie. Do jednego tylko typu zajęć nie nabrałem nigdy przekonania — do organizowania i administrowania nauką. Na to jestem za mało przedsiębiorczy, za mało ambitny, a również zbyt wygodnicki — „ja się po prostu nie nadaję”, jak śpiewał kiedyś Krukowski. Bez entuzjazmu odnoszę się też do czynności, w których — wiem — że nie będę celował, a które odciągają mnie od zajęć miłszych i jak mi się zdaje, płodniejszych.

Wszakże i te obowiązki nie zostały mi oszczędzone. W parę lat po mej nominacji na profesora nadzwyczajnego wezwał mnie przed swe groźne oblicze rektor Wasilkowski i oświadczył: „Chyba pan dosyć już obrosnął w piórka, muszę panu wrzepić jakąś funkcję”. Wówczas jeszcze się wybronilem, ale w jesieni 1953 r. spadła na mnie nominacja na dziekana. Dla bezpartyjnej osoby była to wówczas funkcja delikatna. Fata jednakże chciały, że na Sylwestra następnego, 1954 roku, wychodząc po południu z Uniwersytetu złamałem nogę w biodrze i na pół roku zostałem unieruchomiony. Tak zakończyło się moje dziekanstwo. Za to ledwie stanąłem na nogach, Tadeusz Manteuffel uczynił mnie sekretarzem naukowym, a później wicedyrektorem kierowanego przez siebie Instytutu Historii PAN. Pod rozkazami Manteuffla wszystko musiało chodzić jak w zegarku. W Dyrekcji Instytutu miałem sobie zlecone planowanie i sprawozdawczość. Wiadomo, jak mało wdzięczną jest jedna i druga czynność w dziedzinie naukowej. Nabrałem w nich stopniowo wprawy starając się, by moje elaboraty były możliwie zwarte i na ile się da, ogólnikowe; ale nie polubiłem nigdy tej roboty.

W ramach Instytutu Historii zaczęły wtedy funkcjonować komisje bilateralne, organizujące współpracę z historykami poszczególnych państw demokracji ludowych. Naukowe spotkania tych komisji nie stały na szczególnie wysokim poziomie, ale służyły wymianie poglądów i nawiązywaniu przyjaźni. Od czasu do czasu jeździłem z referatami do NRD, Czechosłowacji, Rumunii, Bułgarii — najczęściej na Węgry, jako że w ciągu kilku lat przewodniczyłem komisji historycznej polsko-węgierskiej. Poznałem dzięki temu wiele malowniczych zakątków tego sympatycznego kraju.

W pierwszych dniach sierpnia 1968 r. wróciłem, jak już wspomniałem, z Zachodu i dowiedziałem się: po pierwsze, że nastąpiła likwidacja podwójnych etatów, w związku z czym zostałem zwolniony z Instytutu Historii PAN i z wicedyrektorstwa; po drugie, że mam zostać ponownie dziekanem Wydziału Historycznego na Uniwersytecie. Może to była wtedy i racjonalna idea, powierzyć ową funkcję komuś, kto nie znajdował się w kraju w pierwszej połowie owego pamiętnego 1968 roku. Mnie jednak to eksponowane stanowisko wcale się nie uśmiechało. Wybronilem się — wpadając, rzecz można,

z deszczu pod rynną. Z Nowym Rokiem 1969 zostałem powołany na przewodniczącę Komitetu Nauk Historycznych PAN. Funkcja to honorowa i zaszczytna, odpowiedzialna, lecz pozbawiona możliwości efektywnego działania, dość przy tym absorbująca. Trudno mi było od niej się wymawiać, od paru już lat byłem członkiem Polskiej Akademii Nauk, zaś członkostwo to zobowiązuje do sprawowania takich właśnie akademickich obowiązków. *Nolens volens* wyrosłem na nominalnego przywódcę całej rzeszy historyków polskich, przedstawiciela ich za granicą. Trwam na tej placówce, mimo ponawianych prób wycofywania się, już czwartą trzyletnią kadencję. Reprezentuję polską naukę historyczną, przewodniczę na posiedzeniach, zagajam sympozja, układam albo tylko podpisuję memoriały do czynników zwierzchnich, interweniuje, opiniuję, konsultuję, mediuje w różnych naszych zawodowych sporach i bolączkach. Głęboko jestem przekonany, że niejedyn z moich kolegów pełniłby te same czynności skuteczniej, sprawniej i z większą satysfakcją. Nie ode mnie jednak zależy znalezienie sobie zastępcy.

11

Rekompensatę znajduję w dwóch zakresach pracy, które są dla mnie niemalże wyłącznie przyjemnością. Pierwszy, to redakcja „Przeglądu Historycznego”, czasopisma, z którym jestem związany od lat z górą czterdziestu. Redakcję naczelną objąłem w 1952, pełnię więc tę funkcję dłużej niż którykolwiek z moich poprzedników. W każdą środę o 9 rano zbiera się nasze grono redakcyjne w składzie, który nieznacznie tylko zmienił się w ciągu ćwierćwiecza. Czy „Przegląd Historyczny” jest czasopismem doskonałym, czy redagujemy go naprawdę jak najlepiej? Bardzo wątpię — tym swoim wątpliwościom dawałem wyraz publicznie. Ale staramy się, jak umiemy, wyrobiliśmy sobie styl pracy i zdaje mi się, że jesteśmy użyteczni. Bieżąca praca redaktora polega na uważnym przeczytaniu i ocenie wszystkiego tego, co wpływa do teki: następnie zaś, na przygotowaniu do druku tego, co ma wejść do kolejnego numeru. Nieliczne tylko teksty mogą pójść tak, jak wyszły spod ręki autora. Na ogół trzeba je wygładzać, a przede wszystkim skracać. Wielosłowie jest przecież wadą wrodzoną całego polskiego piarstwa. W przeważeniu go osiągnąłem, jak mi się zdaje, pewną wprawę — nie tylko na tekstach własnych, ale i na nadsyłanych do redakcji. Autorowie nasi, nawet ci najbardziej dostojni i drażliwi, nie uskarżają się na te zabiegi; poddają się, może i aprobuja. Niniejsze funkcje redakcyjne niekiedy bywają żmudne, ale przynoszą doraźne efekty. Skądinąd sam czuję się w obowiązku dać do „Przeglądu” co najmniej parę recenzji rocznie.

Druga instytucja, z którą współpracuję również od blisko ćwierćwiecza, to *Polski słownik biograficzny*. Poczynając od życiorysu Henryka Brandta w tomie II aż do Aleksandra Oskierki w tomie XXI zamieściłem w tym wydawnictwie 140 biografów; dziesiątek dalszych na literę P czeka swojej kolejki. Uważam PSB za bezcenną pomoc warsztatową dla wszystkich zajmujących się historią Polski, jestem więc zdania, że wszyscy historycy powinni go wspomagać. Praca to oczywiście trudna: zarówno, gdy wchodzi w grę drugoplanowi działacze, o których mało się wie, jak i kiedy trzeba na niewielu stronach skreślić sylwetkę wielkiego wymiaru. Wpadało mi

mierzyć się i z jedną i z drugą kategorią. Pisałem życiorysy wielkich panów i chłopów, uczonych, urzędników i wojaków, konserwatystów i rewolucjonistów. Najwcześniejszy z moich bohaterów urodził się w 1754, najpóźniejszy zmarł w 1941 r. Są wśród nich ludzie ze wszystkich trzech zaborów; obok postaci bardzo mało znaczących, także namiestnik Gołuchowski, Kniaziewicz, Lelewel, Mierosławski, Miłkowski, Mochnacki, Niemcewicz. Na „wokandzie” mam Emilię Plater, będzie to druga zlecona mi niewiasta — po pani Marii Muchanow-Kalergis. Współpraca ze *Słownikiem* nie ogranicza się do przygotowania życiorysów, otrzymuję bowiem do oceny liczne biogramy cudzego pióra, lecz bliskie mi kompetencją. Tu również zdarza mi się wkraczać w tekst: skracając, prostując, uzupełniając. Moje własne życiorysy też podlegają podobnej, niezbędnej i pożytecznej obróbce. Dodam, że od lat paru jestem przewodniczącym Komitetu Naukowego PSB, stosunkowo licznej ciał, które zbiera się raz do roku dla poddania ocenie bieżącej działalności Redakcji.

Cóż jeszcze dodam na temat swych naukowych doświadczeń, z perspektywy półwiecza, jakie mnie dzieli od pierwszej wydanej książki? Dwa lata temu, zgodnie z pragmatyką służbową, przeszedłem na emeryturę, lecz nie zauważyłem, aby z tego tytułu przybyło mi wolnego czasu. Po pierwsze, prowadzę nadal oba seminaria uniwersyteckie — tak długo, póki kto jeszcze zechce robić u mnie magisterium oraz dopóki dawniejsi moi doktoranci nie sfinalizują przewodów. Po drugie, nadal jeszcze koledzy zapraszają mnie na recenzenta w przewodach doktorskich i habilitacyjnych, w Warszawie i poza nią. Nadal też zwracają się do mnie firmy wydawnicze o recenzje wewnętrzne; prawie zawsze też zalega w kącie pokoju czyjś maszynopis mniej lub więcej opasły, który trzeba uważnie przeczytać i zaopiniować. Nie zwlekając zanadto, bo przecie są to ludzkie sprawy. Po trzecie, urzęduję jeszcze w Komitecie Nauk Historycznych, a bywam powoływany i do innych ciał; nie z każdego też zaproszenia mogę wymówić się w sposób przyzwoity. Dość czasochłonne, ale i podniecające umysłowo, bywają posiedzenia jury „Polityki”, który to tygodnik przyznaje co roku nagrody za publikacje z historii najnowszej. Lecz do tych rozlicznych obowiązków, od których jeszcze nie zdołał uwolnić się emeryt, dochodzi okoliczność najważniejsza: że nie myśli on bynajmniej zaprzestać osobistej pracy naukowej.

Kilka lat temu wezwano mnie do objęcia naczelnej redakcji *Dziejów Warszawy*, zbiorowego dzieła obliczonego na sześć tomów. Przyjąłem ten obowiązek, gdyż dzieło takie zdawało mi się potrzebne, zaś przyszli autorzy zwracali się do mnie z zaufaniem. Zgodziłem się wziąć na siebie tom III, a więc raz jeszcze odcinek 1795—1914. Podejmowałem ryzyko na serio, bowiem nie studiowałem nigdy historii Warszawy, która to gałąź wiedzy ma legion zasłużonych specjalistów, pełnych erudycji i zadufania w sobie. Wykorzystałem — jak umiałem — ich osiągnięcia, poszukałem tego i owego na własną rękę i skleciłem dość szybko zamówiony tom III, który został wydany wyjątkowo pięknie w PWN-ie i (zdaje się) powszechnie się spodobał. Obecnie dojrzewają pozostałe tomy, wcześniejsze i późniejsze, z którymi także mieć będę do czynienia jako redaktor całości. Wejście na służbę varsavianistyki pociągnęło też za sobą mój udział w tak zwanych sesjach warszawskich — urządzanych co roku w styczniu pod patronatem Stołecznego

Komitetu Partii. Nie co roku, ale co lat parę, występują na takiej sesji z popularnym odcytem, który później ukazuje się w druku. Publiczność na owych sesjach jest stosunkowo liczna, nie wyłącznie fachowa, tym bardziej za to ciepła i zycziwa.

Następna z kolei imprezę zbiorową podjąć musiałem na zlecenie rektora UW. Szło o historię Uniwersytetu Warszawskiego, która to uczelnia ze wszelkich względów zasługiwała na takie opracowanie. Wziąłem na siebie tom I, do roku 1915, zmontowałem zespół sześciu osób i sam podjąłem się opracowania odcinka 1857—1869. Chodziło więc o dzieje Szkoły Głównej, instytucji otoczonej legendą, która, jak się zdawało, wymagała zweryfikowania. Dokopałem się w związku z tym nowego materiału i postawiłem w nowym oświetleniu problem dyskutowany od dawna: zachowania się Szkoły Głównej, jej wychowawców i młodzieży, wobec powstania styczniowego. Rozpisałem się na ten temat, ale nie wystarczyło odwalić własny kęs roboty. Należało zmobilizować partnerów zespołu, przedyskutować z nimi ich rozdziały, dopasować do siebie sześć części składowych. W tej chwili skompletowany tom szczęśliwie już poszedł do druku.

Impreza trzecia: przyjaciele zaczęli się krzątać około ewentualnej reedycji moich *opera minora*. Przyjrzałem się najpoważniejszej z tych pozycji: 60-stronicowej rozprawie *Sprawa włościańska w Galicji w 1848 roku*, napisanej zaraz po wojnie, w stulecie Wiosny Ludów. Wydała mi się ta rzecz z wielu względów niedoskonałą, w ciągu ostatnich paru dziesiątków lat wydano na ten temat dużo nowych źródeł, ujawniły się nieznane archiwalia. Pomyślałem, że warto wziąć raz jeszcze na warsztat ów dawny przyczynek. Gdy się do niego wziąłem — a okazało się to szczególnie przyjemne zajęcie — wyrosła mi ni stąd ni zowąd książeczka na 10 arkuszy, odświeżająca dawny mój flirt z Wiosną Ludów. Teraz cierpliwie wyczekiwać będę trafienia jej do produkcji.

W 1980 r. świętować mamy 150-lecie powstania listopadowego. Nie moja to specjalność — a jednak uchodziło mi zgłosić na kongres międzynarodowy w Bukareszcie referat pt. *1830 — révolutions et réformes en Europe*. Horyzont jeszcze szerszy niż dotąd, mogący przyprawić o zawrót głowy...

12

Nie wiem na jak długo jeszcze obliczać mogę własną sprawność umysłową: na lata, czy na miesiące? Nie stać mnie już na plany dalekosiężne. Marzyłem kiedyś o napisaniu historii kultury polskiej w XIX wieku. Mogło mi to przyjść łatwiej niż komu innemu, jestem dziś chyba jedynym w Polsce historykiem obeznanym na równi z historią trzech zaborów. (Powtarzam: nie było to zaplanowane osiągnięcie, ale następstwo okoliczności życiowych). Występowałem publicznie z zarysami syntetycznymi: o rozwoju świadomości narodowej w Polsce (X zjazd historyków w Lublinie, 1969), o polskiej kulturze politycznej (zjazd XI w Toruniu, 1974). Lecz szczegółowych studiów nie podjąłem i już nie podejmę. Za długo by one trwały i wymagałyby też innej, nowoczesnej metodologii.

W samej rzeczy — orientuję się dobrze w staroświeckości własnego pisarstwa. Uprawiałem przeważnie historię polityczną, chociaż dokonywałem

wypadów w domenę gospodarki, struktur społecznych, kultury umysłowej. Nie nałamałem się do technik rozpowszechnionych w drugiej połowie naszego stulecia, do analizowania zjawisk gospodarczo-społecznych z pomocą maszyn obliczeniowych i matematyki wyższej. Podziwiam tych spośród krajowych kolegów, którzy mają odwagę stawiać źródłom masowym (zwłaszcza w zakresie historii gospodarczej), oryginalne i przenikliwe pytania, którzy (co rzadsze!) umieją wysnuć dorzeczne wnioski z uzyskanych odpowiedzi. Sam drepnę starą ścieżką, a procenty obliczam na skrawku papieru, jak mnie uczono w szkole, bez suwaka i kalkulatora. Metodologię praktykuję eklektycznie, dobierając argumentację wedle zasad zdrowego rozsądku. Wiem, że kryterium to bywa zdradliwe.

Cóż jeszcze mam podsumować? Powinienbym odczuwać zadowolenie z tego, co działałem. Publikacje moje wywoływały polemikę, lecz ani w kraju, ani za granicą po dziś dzień nie spotkałem się z kategorycznie potępiającym atakiem. W ogóle przyznać muszę, że w odnoszeniu się do mnie kolegów dostrzegałem wyłącznie życzliwość. Otrzymałem liczne nagrody i wyróżnienia ze strony władz państwowych i innych instytucji — ostatnio (1978) nagrodę państwową za całość twórczości. Z okazji moich „okrągłych” urodzin (1967, 1977) doczekałem się gratulacji, także ze strony osób najwyższej postawionych. Nie stałem się, rzecz jasna, sławny, lecz bywam czytany i cytowany: Nie wykluczam, iż nakłady niektórych publikacji moich z lat 50-tych poszły na przemiał. Te z lat ostatnich rozchodzą się szybko, a nie wszystkie mogą doczekać się wznowienia. Dochodzą mnie też przychylne głosy czytelników. Doprawdy jednak nie zdaję sobie sprawy, jak wielu ludzi nauczyłem i czego mianowicie? Jak wielu przekonałem? Czy udało mi się komukolwiek zasugerować własne swe poglądy: nie tylko o okolicznościach tego czy innego powstania, lecz i o obowiązku stosowania jednolitych norm moralnych w naszym obrachunku z przeszłością? Podliczania nie tylko krzywd wycierpianych przez naród, ale i krzywd wyrządzonych?

Nie żywię złudzeń, że moją dość obfitą twórczość naukową czeka w nie-dalekiej przyszłości szybkie zapomnienie. Przetrwają — jeśli świat uniknie kataklizmu — wydawnictwa źródłowe. Specjaliści czas jakiś korzystać będą z monografii, dopóki ich nie zastąpią nowsze i lepsze, albo tylko modniejsze opracowania. Kiedyś może zajmie się Kieniewiczem historyk historiografii. Jeśli starczy mu cierpliwości, spenetruje zapewne, że moje poglądy na te czy inne problemy dziejów porozbiorowych zmieniały się na przestrzeni półwiecza; że co innego pisałem przed wojną, a co innego po niej; że inaczej formułowałem oceny w latach 50-tych, 60-tych, 70-tych. Ufam, że przyszłego badacza nie zgorszy taka ewolucja poglądów. Leży ona w naturze rzeczy. Sam mogę ją oceniać tylko subiektywnie. Wydaje mi się, że jeśli zmieniłem ocenę takiego czy innego faktu historycznego, to dlatego, że w danym, konkretnym przypadku naprawdę doszedłem do innego przekonania. Może ta zmiana świadczyć o naiwności, powierzchowności, błędności sądów (wcześniejszych, czy też późniejszych). Nie świadczy jednak o wyrachowaniu.

To, co działałem, zawdzięczam po części niezasłużonym talentom, po części regularnemu trudowi lat wielu. Aż nadto dobrze wiem, że nic w życiu nie przychodzi za darmo, że za wszystko trzeba zapłacić. Człowiek, który

w piątek i świątek pracuje mniej więcej od 9 rano do 8 wieczór, musi z czegoś zrezygnować. Rezygnuje z życia towarzyskiego, ze sportu, kawiarni i brydża, ze społeczności, również z teatru i kina, z czytania literackich nowości. Oczywiście nie ma w domu telewizora; nie pali, gdyż odrywałoby go to od pracy w bibliotece. Czy na tym traci? Oczywiście, nawet bardzo wiele. Ale nie może mieć w życiu wszystkiego. Mnie osobiście zapewne byłoby stać na willę lub samochód, lecz są to nazbyt absorbujące bogactwa. Bywałem, owszem, w różnych obcych krajach, od Leningradu po San Francisco, od Szkocji po Sycylię. Zawsze w ramach wyjazdów służbowych; prywatna turystyka może byłaby instruktywna, ale dotąd nie znalazła miejsca w moim budżecie czasowym. Lubiłbym zapewne kolekcjonować książki ze swej specjalności, lecz na mych pięćdziesięciu kilku m² nie mam już na nie miejsca. Gdy skądś napłyne jedna, muszę się wyżyć innej. Jedyny luksus mego codziennego życia, to ranne śniadanie spożyte o 8 rano, w małym rodzinnym gronie, przy spokojnej rozmowie o wszystkim, co nas interesuje. Nie stać na takie spowolnione rozpoczęcie dnia przeciętnego polskiego inteligenta.

Możliwe, że niejeden wybitny uczony osiągnął znacznie większe jeszcze rezultaty gospodarząc swym czasem inaczej. Nikomu siebie za wzór nie przedstawiam. Ostatnich kilka refleksji poświęcić chcę następstvom, jakie wynikają z osiągniętej pozycji życiowej. Sam nie wiem kiedy, wkrótce po sześćdziesiątce, odczułem, że nieoczekiwanie, w gronie — nie wiem, czy bardzo szerokim, zostałem zaliczony do autorytetów. Między innymi znalazło to swój wyraz w agresywności dziennikarzy, domagających się ode mnie wypowiedzi na przeróżne tematy: w prasie przeróżnych kolorów, w radiu, telewizji, na posiedzeniach tych czy innych stowarzyszeń. Nie zawsze udaje mi się uchylić od tych wystąpień, nie zawsze umiem przy takich wywiadach powiedzieć coś dorzecznego i oryginalnego. W końcu nawet nie jest to ważne, wypowiedzi takie mijają przecie bez śladu. Są one jednak symptomem zjawiska poważniejszego: że jakiś krąg opinii publicznej — przede wszystkim najbliższy, kolegów-historyków, ale i szerszy, polskich humanistów — może się na mnie oglądać, czegoś ode mnie oczekiwać. W takiej zaś sytuacji już nie wystarcza to, że człowiek wypełnia — jak mu się zdaje, solidnie — swe „obowiązki stanu”. Zwłaszcza że, wypełniając je, zabawia się właśnie tym, co mu sprawia największą przyjemność. Powinien się przemóc i wyjść, jeżeli mu się wyda, że trzeba, ze swej wieży z kości słoniowej.

Myśli tego rodzaju nachodziły mnie coraz częściej od czasu, kiedy nie stało wśród nas Tadeusza Manteuffla (zmarł w 1970). Bardzo odmienny był to ode mnie człowiek: zdolny do walki o założone cele, urodzony przywódca, znawca ludzi, doskonały organizator. Dopóki nadawał ton, wszyscy wiedzieliśmy, że mamy się na kim oprzeć w trudnych chwilach. Któż zająć miał jego miejsce?

Kilkakrotnie w ciągu ostatnich lat, pod wpływem takich refleksji zabierałem głos w aktualnych sprawach, obchodzących nasze środowisko. Przemawiałem do niezbyt licznych, ale i liczniejszych zgromadzeń, również do młodzieży. Wypowiedzi te wzbudzały jakiś rozgłos; do druku trafiały później z niektórymi opuszczeniami. Nie były to wezwania rewolucyjne — nie mam temperamentu burzyciela, staram się trzymać tego, co zdaje się

osiągalne w granicach zdrowego rozsądku. Zawsze też zależało mi na tym, by mówiąc o niedomogach naszego życia zawodowego uwydatniać zarówno dotkliwe czy szkodliwe okoliczności zewnętrzne, jak i własne nasze słabości i zaniedbania.

Nie łudziłem się ani przez chwilę, że te nieliczne moje wystąpienia zdołają cokolwiek poprawić. Być może „wychylając się”, jakże ostrożnie! uspokajałem tylko niepokój sumienia. Czy odzywałem się w porę? zbyt rzadko? zbyt nieśmiało? — osądzą zapewne potomni.

C. Кеневич

АВТОБИОГРАФИЯ

1. Семейная среда; 2. Школа и университет; 3. Первые книги; 4. Война; 5. Организация личной жизни в Народной Польше; 6. Сотая годовщина Весны Народов; 7. Перелом пятидесятых годов; 8. Проблема январьского восстания; 9. Дидактическая деятельность; 10. Служебные обязанности; 11. Приятные обязанности; 12. Резюме.

S. Kieniewicz

AUTOBIOGRAPHY

1. Family background; 2. School and studies; 3. First books; 4. War time; 5. Settling down in People's Poland; 6. Centenary of the Springtide of Nations; 7. The turning-point of the 1950s; 8. Around the January Insurrection; 9. Didactics; 10. Official functions; 11. Attending to pleasant duties; 12. Summary.

S. Kieniewicz

AUTOBIOGRAPHIE

1. Milieu familial; 2. Ecole et études supérieures; 3. Premiers livres; 4. La II^e Guerre Mondiale; 5. J'organise ma vie en Pologne Populaire; 6. Le 100^e anniversaire de 1848; 7. Les années cinquante — le renouveau; 8. Autour de l'insurrection de janvier 1863; 9. Enseignement; 10. Fonctions officielles; 11. Devoirs agréables; 12. Conclusions.



Ryc. 1. 1955: przemówienie na Kapitolu w Rzymie, w stulecie śmierci Mickiewicza



Ryc. 2. Turyn 1961. W rozmowie z profesorem Valsecchi



Ryc. 3. 1960: składanie wieńca pod pomnikiem obrońców Republiki Rzymskiej



Ryc. 4. Z profesorem Ghisalberty na kongresie Risorgimento w Palermo, 1961



Ryc. 5. Na Międzynarodowym Kongresie Historyków w Wiedniu, 1965



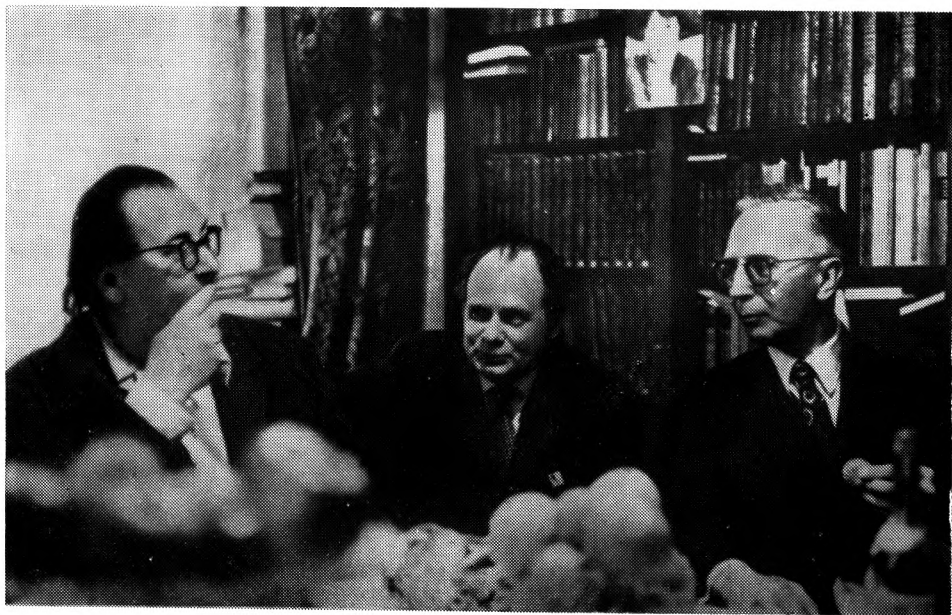
Ryc. 6. Powązki 1970. Pogrzeb profesora Tadeusza Manteuffla



Ryc. 7. W Ambasadzie PRL w Paryżu, z profesorem J. Le Goff: prezentacja *Histoire de Pologne*



Ryc. 8. Posiedzenie Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych, Herceg Novi (Jugosławia), lipiec 1972: obok mnie mgr Battoli (Watykan) i Mme Biaudet (Szwajcaria)



Ryc. 9. 1973 Moskwa. W rozmowie z W. Korolukiem i W. Djakowem na temat wydawnictwa źródeł do roku 1863



Ryc. 10. Wystąpienie na „Sejmiku Historyków” w Kaliszu, 21 IX 1976: Miejsce i rola historii w wychowaniu pokoleń